

Rozdział 1

Mecenas Stanisław Baranowski pragnie zawiadomić Panie Jowitę i Martynę Boni, iż 30 czerwca 2023 roku o godzinie 13:30 w siedzibie kancelarii przy ulicy Smoczej 28 odbędzie się spotkanie dotyczące ujawnienia testamentu Pana Stefana Boni, urodzonego 15 stycznia 1954 r., syna Emilii i Stanisława, zmarłego 3 czerwca 2023 roku w Ustce. Z uwagi na delikatność sytuacji proszę o potraktowanie niniejszego wezwania z należytą powagą.

Z wyrazami szacunku,

Stanisław Baranowski, radca prawny, notariusz.

- Przestań w kółko to czytać!
- Nie wiem, jak powiem o tym Wojtkowi.
- Normalnie. Po polsku.

Jowita westchnęła pod nosem, odsunęła wymiętoloną kartkę na bok i obserwując krzątającą się za ladą, urodziwą rudowłosą kelnerkę, wepchnęła do ust kawałek najwyborniejszego sernika, jaki ostatnio jadła. Jedwabisty twaróg miał w sobie dodatek wiórek kokosowych i słodkich kawałków białej czekolady. Miała ochotę jęknąć z rozkoszy, gdy słodka masa roz płynęła się na jej podniebieniu.

Ale jak tu delektować się wypiekiem, skoro życie podsuwa ci pod nos zakalca?

– Och, nie bądź taka wredna! – syknęła w stronę siostry, gdy w końcu wszystko przełknęła. – Wiesz, że on ma tysiąc spraw na głowie, a ja walczę z przygotowaniami do ślubu.

Martyna, nic nie robiąc sobie z połajanek młodszej siostry, uniosła do ust filiżankę z aromatycznym cappuccino i rzuciła jej srogie spojrzenie znad puszystej pianki.

– Gdybyście walczyli razem, siły rozłożyłyby się równomiernie. Byłabyś dzięki temu mniej spięta i nie myślałabyś o ślubie jak o wycieńczającej ekspedycji do amazońskiej dżungli – odcięła się dyplomatycznie, stukając filiżanką o porcelanowy spodek.

Jowita przygryzła policzek, aby powstrzymać się przed ripostą i tym samym zakończyć tę niepotrzebną polemikę, która do niczego nie prowadziła. Poza tym Martyna była zagorzałą przeciwniczką wesel i uważała to „wydarzenie” za zbędny wydatek, który według niej generował potężne koszty i jeszcze większy stres. Życie zaś było zbyt krótkie, aby pozwolić sobie na tak niemądrą decyzję, jak spętanie więzami małżeńskimi z człowiekiem, który nie da nam nigdy gwarancji wierności i dozgonnej miłości.

Dla Jowity takie podejście do życia i miłości było wręcz irracjonalne. Zakładanie z góry, że ktoś będzie względem nas nieuczciwy, poddawało w wątpliwość istnienie jakiegokolwiek relacji między mężczyzną a kobietą. Być może dlatego Martyna od wielu lat była sama i nie wykazywała zainteresowania facetami, choć było w niej zadurzonych sporo nieszczęśników.

Jednak w tym momencie to nie sprawy miłosne były najważniejsze. Obydwie miały znacznie twardszy orzech do zgryzienia. Przed kilkunastoma minutami opuściły znajdującą się nieopodal kancelarię notarialną mecenasa Stanisława Baranowskiego, w której dowiedziały się, że zostały jedynymi spadkobierczyniami swojego nieżyjącego wujka, Stefana Boni. I absolutnie nie byłoby w tym nic dziwnego – przecież śmierć jest tak samo pewna jak podatki – gdyby nie fakt, że owego wujka nigdy w swoim życiu nie poznały i nie widziały na oczy, choćby na fotografii.

– Co z tym zrobimy? – zadała pytanie Jowita, wpatrując się w błękitne oczy siostry, jakby szukała w nich odpowiedzi.

– Nie mam pojęcia – jęknęła Martyna, przeczesując długie włosy w kolorze złocistego zboża. – Nadal nie mogę w to uwierzyć. Odziedziczyć knajpę nad morzem? I to tak niespodziewanie? Czuję się jak bohaterka filmu, która dowiaduje się, że babka z Ameryki zostawiła jej milionową fortunę.

Jowita była równie zaskoczona, jak jej siostra. Dla postronnego słuchacza zapewne wydawałoby się dziwnym, że obydwie zamartwiały się z powodu otrzymania w spadku trzypiętrowego lokalu zlokalizowanego przy usteckim porcie. Jednak dla kobiet, które prowadziły uporządkowane życie i miały już plany na przyszłość, ogarnięcie tego kukułczego jaja było nie lada problemem. Zawiadomienie o spotkaniu w kancelarii Baranowskiego dotarło do nich przed dwoma tygodniami. Zaskoczenie było tym większe, że nigdy nie utrzymywały z bratem ojca jakiegokolwiek kontaktu. Owszem, miały świadomość, że ich świętej pamięci ojciec nie był jedynakiem, jednak nigdy nie zadały sobie trudu, aby zgłębić historię człowieka, który dla rodziny był niczym czarna owca. Zawsze sądziły, że skoro babcia ucina wszelkie próby rozmowy o nim, ma ku temu ważny powód. Nikt przecież ot tak nie wyrzeka się własnego dziecka. Za tym musiała kryć się jakaś smutna historia. Jowita nie znalazła innego wytłumaczenia, dlaczego nawet dziadkowie, gdy jeszcze żyli, nie wypowiadali imienia własnego syna. Z pewnością Stefan Boni miał sporo za uszami. Być może zawiódł ich zaufanie albo zrobił coś znacznie gorszego.

– Porozmawiam z Wojtkiem. Na pewno zna kogoś, kto będzie potrafił nam doradzić – odparła pewnie Jowita, święcie wierząc w to, że jej bystry narzeczonny okaże się w tej skomplikowanej sytuacji pomocny. Będzie musiała poprosić go o dyskrecję. Nie chciała, aby

jej przyszła teściowa była wtajemniczona w całą sprawę. Jeszcze tylko jej dobrych rad Jowicie brakowało.

– Tu nie ma co pomagać – zachnęła się Martyna. – Przede wszystkim należy porównać spis inwentarza z tym, co znajduje się na miejscu. Zobaczyć na własne oczy, z czym zostawił nas wujaszek Stefan – zasugerowała, spoglądając na Jowitę zdeterminowana. – I jeszcze ten cały zarządca testamentowy.

– Więc co? Pojedziemy do Ustki?

– Ja nie mogę! – zaczęła się wzbraniać Martyna, unosząc dłonie w geście protestu. – Wiesz, że mamy fuzję z tą czeską siecią siłowni i kursuję między dwoma krajami. Nie mogę nawet w spokoju wypić kawy. Moje dzisiejsze spotkanie z tobą to chwilowy luksus, który odpokutuję sporymi nadgodzinami.

Jowita czuła, jak zaczyna przyspieszać jej tętno. W ukojeniu nerwów nie pomagał nawet ukwiecony kawiarniany taras, na którym siedziały. Ogromne, dwuskrzydłowe, szklane drzwi kawiarni „Niezapominajka” otwierały się na prostokątny balkon, który z kolei znajdował się na tyłach budynku, oddzielając klientów od zgiełku i szarżyzny ulicy. Zawsze, gdy Jowita latem odwiedzała to miejsce, zaciągała się zapachem wszechobecnych krzewów róż, które pięły się po metalowym żebrowaniu balustrady. Dzisiaj jednak nie cieszył jej cudowny, florystyczny gust właścicieli kawiarenki.

Miała mętlik w głowie spowodowany kolejną, dodatkową sprawą do załatwienia. A przecież w czerwcu przyszłego roku wychodziła za mąż! Nie miała dopiętego jeszcze menu ślubnego ani wybranego tematu przewodniego przyjęcia. Choć termin wydawał się odległy, to firma związana z obsługą wesela żądała konkretów na wiele miesięcy przed samą uroczystością. Jowita zaś nadal toczyła bój z przyszłą teściową o to, czy wesele powinno być w klimacie boho czy glamour. Jako niepoprawna romantyczka skłaniała się ku sielskiej, nienarzucającej się stylizacji, jednak matka Wojciecha lubiła błysk, blichtr i wzbudzenie zazdrości wśród znajomych. Wymagała wręcz, aby sala weselna ociekała złotymi dodatkami i brokatowymi dekoracjami. W końcu jej syn ma szansę zostać prezydentem miasta. Nie może mieć wesela jak ubogi student na dorobku.

– A ja mam wesele i mnóstwo spraw z tym związanych – przypomniała, wpatrując się w swoje paznokcie, którym przydałby się porządny manikiur.

– Nie przesadzaj. – Martyna wrzuciła ramionami, po czym zaczęła grzebać w swojej torebce, aby wydobyć z niej telefon komórkowy. – Masz jeszcze jedenaście miesięcy, na pewno parę dni na zajęcie się ważną sprawą rodzinną nie zaburzy twojego ślubnego harmonogramu.

Cholera, Irek do mnie wydzwaniał – mruknęła, stukając szybko w wyświetlacz. – Napiszę mu, że za pół godziny będę w biurze.

Pół godziny na omówienie sprawy spadkowej z własną siostrą? Cóż za rozrzutność! Jowita skrzywiła się w duchu, grzebiąc widelcem w ostatnich okruchach po serniku. Zdawała sobie sprawę, że jej siostra jako asystentka dyrektora generalnego sieci siłowni miała mnóstwo pracy na głowie, jednak liczyła na to, że wspólnie wymyślą coś, co pozwoli im uporać się z tą sytuacją.

– Może kogoś wynajmiemy. Jakiegoś rzeczoznawcę? – rzuciła Jowita, sądząc, że to świetne rozwiązanie, skoro żadna z nich nie paliła się, aby jechać do Ustki i oglądać knajpę, którą zostawił im wujek.

– Obydwie doskonale wiemy, że jeśli nie zrobisz czegoś sama, to dostajesz spazmów. Powinnaś wziąć sobie wolne od przygotowań ślubnych i tam pojechać. Ustka nie jest daleko. Zastanów się nad tym.

Jowita nie mogła powstrzymać konsternacji, która pojawiła się na jej twarzy. Propozycja siostry została rzucona tak luźno, jakby wyprawa sto pięćdziesiąt kilometrów od domu nie stanowiła dla Jowity żadnego problemu. Pomimo tego, że miała bardziej spolegliwy charakter niż starsza siostra, była o wiele bardziej uparta niż ona. Nie lubiła również, gdy ktoś mówił jej, co ma robić. Poza tym nie znała się na nieruchomościach. Obawiała się, że jej wrażenia rozminą się z rzeczywistą wartością spadku i przez to wpakuje siebie i siostrę w nie lada kłopoty. Decyzja o przyjęciu majątku musiała być rzetelnie przemyślana. Zgodzić się jest bardzo łatwo, jednak borykanie się z późniejszymi remontami i narażanie na dodatkowe koszty mogło doprowadzić ich budżety do ruiny.

– Przecież też pracuję – obruszyła się, szorując sandałami o białe kafle.

– Od poniedziałku masz urlop. Zapomniałaś?

Cholera! Zapomniała, i to na amen. Być może dlatego, że została wypchnięta na dwutygodniowy wypoczynek niemal siłą. Magister Skrzynecka, księgowa, u której pracowała w charakterze pomocy biurowej, zagroziła jej wręcz, że jeśli nie pójdzie na zasłużony urlop w lipcu, to może zapomnieć o przyszłorocznym wolnym na okoliczność ślubu i podróży poślubnej.

Złapała się za głowę i potrzęsnęła nią mocno, jakby chciała skarcić własne zapominalstwo.

– Cholera. Masz rację.

– No właśnie. Twój Wojtek i tak zajmuje się wszystkim, tylko nie tobą, więc opuść go na kilka dni i rozeznaj się w temacie rodzinnego spadku. Tęsknota dobrze wpłynie na jego libido.

– Nie bądź złośliwa. Wojtek spełnia swoje marzenia – stanęła w obronie narzeczonego, wywołując na twarzy siostry uśmiezek politowania. – W życiu nie chodzi tylko o libido.

– W życiu może nie, ale w związku już tak – wymamrotała pod nosem Martyna, a Jowita w przypływie zażenowania postanowiła nie komentować jej słów.

Czasami żałowała, że zwierzała się siostrze ze swoich problemów damsko-męskich, gdyż Martyna potrafiła zaatakować ją jej własnymi słowami w najmniej odpowiednim momencie. Nie miała jednak żadnej przyjaciółki, której mogłaby się wygadać. Najzwyczajniej w świecie nie miała czasu na pielęgnowanie takiej relacji. Od rana do wieczora pracowała w biurze Skrzyneckiej, a gdy wracała do domu, skupiała całą swoją uwagę na narzeczonem. Na jesieni czekało go najważniejsze życiowe wyzwanie, musiała więc wysłuchiwać jego obaw i dodawać mu otuchy.

– A kiedy ty będziesz spełniała swoje marzenia? Nie pamiętasz, jak snułaś jako dziecko plany o własnej kawiarni, w której będziesz serwowała własne wypieki? Może właśnie życie daje ci znak. – Martyna zmieniła nagle ton na znacznie przyjemniejszy. – Kawiarenka na portowym bulwarze! Wyobrażasz sobie?

– Aleś ty głupia – zaśmiała się wymuszenie Jowita, zagłuszając tym samym mocne ukłucie żalu w okolicy serca. – Szcze-niackie marzenia nijak się mają do dorosłego życia. Knajpa w tak niepewnych czasach? Musiałabym upaść na głowę. No i pamiętaj, że połowa spadku należy się tobie.

– Gdybyś postanowiła mieć knajpę, oddałabym ci połowę udziałów. Ja się spełniam w swojej pracy, mam szansę na stanowisko zastępczyni Irka, więc nie mam parcia na dodatkowe zobowiązania. – Sugestywne uniesienie brwi miało dać Jowicie do zrozumienia, że siostra całkiem realnie myśli, aby pozostawić spadek w rękach rodziny Boni.

Jowita wiedziała, że wieloletnia kariera u boku rasowego biznesmena uczyniła z jej siostry ekspertkę od wietrzenia dobrych interesów. Otaczała się ludźmi, którzy mieli na koncie miliony, choć jeszcze kilkanaście lat temu byli pracownikami niskiego szczebla. Z powiedzeniem „od zera do milionera” Martyna spotykała się w realnym życiu nieustannie.

– Przed chwilą powiedziałaś, że spadek cię nie cieszy – przypomniała jej Jowita, mrużąc oczy i spoglądając na nią podejrzliwie.

– Bo mnie nie cieszy – odpowiedziała z uśmiechem. – Ale być może jest to znak od losu skierowany wprost do ciebie. Zawsze chciałaś serwować ludziom ciasta. Świetnie pieczesz, masz do tego dar. Poza tym umiesz zająć się ludźmi, gościć ich. Masz w sobie mnóstwo empatii, dlatego tak świetnie sobie radzisz z tymi wszystkimi upierdliwymi przedsiębiorcami, którzy przychodzą do Skrzyneckiej załatwiać swoje sprawy podatkowe.

Dziwne, że jej siostra postanowiła wspomnieć o jej dawnych, dziecięcych marzeniach akurat teraz. Prawdą było, że jej miłość do wypieków skutkowałą snuciem planów o własnej knajpce nad brzegiem morza, jednak jej marzenia szybko zderzyły się z dorosłym życiem i jego wyzwaniem. Po studiach pedagogicznych poznała Wojciecha Kilara, świetnie zapowiadającego się dyrektora Wydziału Ochrony Środowiska z gdańskiego magistratu, i podporządkowała jego karierze całe swoje życie. Przyszła teściowa załatwiła jej dobrze płatną pracę w biurze podatkowym Skrzyneckiej. Po czterech latach związku Wojtek został jej oficjalnym narzeczonym, a ona sama wspierała go w jego chęci kandydowania na prezydenta Gdańska.

Marzenia Wojciecha Kilara mogły się urzeczywistnić już tej jesieni, miała więc nadzieję, że być może po jego zwycięstwie będzie mogła pomyśleć w końcu o sobie. Jednak w snuciu planów nie zapędzała się aż tak bardzo, aby wyobrażać sobie siebie w błękitnym fartuszkusku serwującą gościom wypieki własnej roboty.

– Przypominam ci, że aby w tym kraju prowadzić interes taki jak kawiarnia, trzeba mieć spory zasób gotówki, aby nie zbankrutować po pół roku. Do tego reklama, marketing, czynsze i wszelkie opłaty. A ten budynek ma trzy piętra! Wyobrażasz sobie, jak horrendalne muszą być tam rachunki za prąd i gaz?! Nie, nie. – Pomachała dłońmi w powietrzu. – Nie mam zamiaru spełniać swoich marzeń kosztem narażania się na bankructwo.

„Ale być może jest to znak od losu skierowany wprost do ciebie” – słowa siostry wręcz obijały się po jej mózgu, wywołując przyjemne mrowienie na całym ciele.

Życie to nie bajka, w której tajemniczy list czy spadek zmienia koleje losu biednej dziewczyny, przemieniając ją w księżniczkę. Jowita była zwykłą pracownicą biurową, której narzeczony być może za kilka miesięcy zostanie prezydentem Gdańska. O jakiej knajpce ona myśli?!

– Niech ci będzie – zreflektowała się Martyna po tak pesymistycznej tyradzie siostry. – Ja tylko głośno zaproponowałam, ale jeśli uprzesz się na rzeczoznawcę, który tam pojedzie i w naszym imieniu wszystko obejrzy i wyceni, to się zgodzę i solidarnie dołożę. Ale pamiętaj, że mamy jeszcze na głowie zarządcę spadkowego. Nie wiadomo, co to za jeden. Może okazać się wrednym, starym dziadem, który narobi nam kłopotów i zażąda jakiejś sumy pieniędzy dla siebie. Obstawiam więc przy stanowisku, abyś zjawiała się tam osobiście – podsumowała Martyna. – A teraz wybac, ale muszę lecieć do biura. Irek pewnie trzęsie się beze mnie jak po elektrowstrząsach.

Zgrabna blondynka poderwała się z wiklinowego krzesła i zarzuciła sobie torebkę na ramię. Zwróciła tym samym uwagę większości obecnych w kawiarni gości, nie tylko dlatego,

że była niezwykle żywiłowa i głośna, ale przede wszystkim z powodu wielkiej urody, którą się wyróżniała a która powodowała w sercu Jowity subtelne ukłucie zazdrości.

Lustrowała wzrokiem jej szykowny, lniany garnitur w kolorze intensywnego turkus i mnóstwo kolorowych, brzęczących bransoletek na opalonym nadgarstku. Jakże się różniły od siebie. Podczas gdy starsza siostra wyglądała jak typowa amerykańska piękność, ona sama mogła robić za sobowtóra Fridy Kahlo ze swoim niskim wzrostem, czarnymi włosami i oczami wielkimi jak dwa spodki. Na całe szczęście brwi Jowity nie przypominały jednej owłosionej dżdżownicy jak u słynnej malarki.

– Posiedzę jeszcze chwilę i też się zbieram – wtrąciła Jowita, cmokając nachylając się ku niej siostrę w policzek. – Na-piszę ci, co postanowiłam. Muszę się jeszcze zastanowić.

– Pewnie, skarbie. A kiedy wraca mama? Powiemy jej o tym?

Obydwie zastygły jak rzeźby wyciosane w marmurze. Zapomniały o własnej matce. Przecież ona nadal nic nie wiedziała o śmierci swojego szwagra.

Anna Boni od trzech tygodni była na wycieczce objazdowej po Europie ze Stowarzyszeniem ASMR, do którego należała. Na początku ów skrót nic Jowicie nie mówił. Obawiała się nawet, że to może jakieś dziwne religijne stowarzyszenie wyłudające od ludzi pieniądze i mające ich obietnicami życia wiecznego. Prawda jednak okazała się zgoła inna – matka Jowity należała to ludzi relaksujących się poprzez bodźce słuchowe. Innymi słowy dla Anny Boni ukojenie przynosiło wsłuchiwanie się w delikatne dźwięki, takie jak skrobanie czy szuranie. Aktualnie jej grupa przebywała w Chorwacji, a za kilka dni mieli wyruszyć w kierunku Francji, aby ogrzać się w majestacie rezydencji Ludwika XIV. Kobieta nie mogła mieć więc pojęcia, z czym zmagają się aktualnie jej dwie córki.

– Nie pisnę nawet słówkiem, dopóki jest w podróży – odpowiedziała Jowita z determinacją, po czym zasunęła usta wyimaginowanym zamkiem i wyrzuciła za plecy klucz. – Jej nieobecność daje nam względnie kolejne trzy tygodnie spokoju.

– Masz rację. Zachowajmy to na razie w tajemnicy. O skutki będziemy martwić się później – odparła z ulgą Martyna, drepcząc w miejscu. – Już naprawdę muszę iść. Kocham cię, mój kasztanku.

– Ja ciebie też, Barbie.

Siostra wyszczerzyła się jak rasowa uwodzicielka i po chwili zniknęła w gąszczu szukających ochłody nowych klientów kawiarni.

Jowita dopiła do końca swoją miętową herbatę i zbierając ze stolika zawiadomienie przesłane przez prawnika, zerknęła na nie po raz ostatni. Czując sztywny papier pod palcami,

miała ochotę zakrzyknąć: „Coś ty narobił, Stefanie Boni?!”. Jednak zdawała sobie sprawę, że nie otrzyma już odpowiedzi na swoje pytanie.

Okrutnie martwiła się tym, co je czeka w związku ze spadkiem, jednak ciekawość również drążyła sobie drogę do jej serca. Kim był Stefan Boni, że odciął się od rodziny niczym niechciany intruz? Jak wyglądał? Czy dostrzegłaby w nim podobieństwo do własnego ojca? Miała zaledwie osiem lat, gdy zginął zabity przez pijanego kierowcę, jednak doskonale pamiętała jego czekoladowe oczy i długie, brązowe włosy, które sięgały mu aż za kołnierzyk kraciatej koszuli. Zresztą, widziała jego rysy za każdym razem, gdy spoglądała w lustro. Przeszłość dopadła ją jak lodowate powietrze w zimowy dzień. Zmroziło jej serce, gdy przywołała w pamięci obraz płaczącej mamy i pocieszającej ją ciotki Eli.

– Życzy sobie pani czegoś jeszcze? Może ciastko na wynos? – Rudowłosa kelnerka przywróciła jej myśli do rzeczywistości.

– Nie, dziękuję bardzo. Poproszę o rachunek.

– Oczywiście. – Kobieta uśmiechnęła się i dziarskim krokiem wróciła za swoją ladę, aby wystukać paragon na kasie fiskalnej.

Jowita złożyła na pół kartkę z zawiadomieniem i próbowała wepchnąć ją do swojej torebki. Wtedy też zauważyła coś, o czym kompletnie zapomniała po wyjściu z kancelarii, a o czym chwilę wcześniej starała się przypomnieć jej siostra. Siedząc jeszcze przed obliczem mecenasa, usłyszała pewne nazwisko, które postanowiła zanotować. Należało ono do mężczyzny, który na kilka tygodni przed śmiercią wuja został mianowany przez niego jako zarządca testamentowy. Jak wytłumaczył im mecenas Baranowski, była to funkcja, która w przypadku śmierci właściciela firmy dawała możliwość jej dalszego prowadzenia bez zrywania umów z kontrahentami i zwalniania pracowników.

Daniel Hinca.

Zawiesiła wzrok na swoim odręcznym piśmie i mrużąc oczy, zaczęła intensywnie myśleć. Kolejna zagwozdzka w kopczyku niewiadomych. Kim był Daniel Hinca i co łączyło go z ich wujem? I najważniejsze: skoro wujek powołał go na zarządcę testamentowego, czy oznaczało to, że wiedział, iż umiera?